



WINNIPEG

ISABEL
ALLENDE



DŁUGI
PŁATEK
MORZA

MARGINESY

Largo pétalo de mar

COPYRIGHT © Isabel Allende, 2019

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Sawicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2020

*Memu bratu, Juanowi Allende,
Víctorowi Pey Casado i innym uczestnikom
morskiej wyprawy ku nadziei*

...oto ona, przybysze,
to moja ojczyzna,
tu się urodziłem, tu sny moje żyją.

PABLO NERUDA

POWRÓT, Z CYKLU ODPLYWANIA I POWROTY

I

WOJNA I EXODUS

1

• 1938 •

Przygotujcie się, chłopcy,
żeby znowu zabijać, umierać na nowo,
a potem przykryć krew kwiatami.

PABLO NERUDA

SKRWAWIONA BYŁA CAŁA ZIEMIA CZŁOWIEKA,
Z CYKLU MORZE I DZWONY

Żołnierzek pochodził z Poboru Osesków, rekrutów powołanych do wojska, kiedy wojna wyczerpała już zapasy młodych i starych mężczyzn. Víctor Dalmau zauważył go wśród rannych, wyciąganych w pośpiechu z wagonu towarowego i układanych jak kłody na pokrytej plandekami kamiennie-cementowej posadzce Dworca Północnego, gdzie mieli czekać na transport, który ich odwiezie do szpitali polowych Armii Wschodniej. Leżał nieruchomo z miną kogoś, kto zobaczył anioły i już niczego się nie boi. Trudno zgadnąć, jak długo przerzucano go z miejsca na miejsce – z noszy na nosze, z namiotu do namiotu, z ambulansu do ambulansu – zanim pociąg przywiózł go do Katalonii. Na stacji lekarze, sanitariusze i pielęgniarki odbierali rannych żołnierzy, natychmiast wysyłali najcięższe przypadki do szpitala, a pozostałych dzielili na grupy według miejsca usytuowania ran: A – ręce, B – nogi,

C – głowa, i tak aż do końca alfabetu, po czym przekazywali ich dalej, z kartką identyfikacyjną na szyi. Mimo że rannych liczono na setki, a na podjęcie decyzji co do diagnozy mieli zaledwie kilka minut, tłok i zamieszanie były pozorne. Nikogo nie pominięto przy udzielaniu pierwszej pomocy, nikt się nie zgubił. Tych, którzy wymagali interwencji chirurgicznej, kierowano do kliniki Sant Andreu w Manresie, ci, którzy wymagali leczenia, trafiali do innych szpitali, a niektórych lepiej było zostawić w spokoju, bo już nic dla nich nie dało się zrobić. Wolontariuszki zwilżały im wargi, mówiły do nich szeptem i niańczyły jak własne dzieci, wiedząc, że gdzie indziej jakaś inna kobieta pochyla się z troską nad ich synem czy bratem. Później sanitariusze nieśli ich na noszach tam, gdzie gromadzono zwłoki. Żołnierzek miał dziurę w klatce piersiowej i lekarz, kiedy przy powierzchownym badaniu nie wy czuł pulsu, uznał, że już mu nic nie pomoże, ani morfina, ani życzliwe słowo. Na froncie położono mu na ranę kawałek materiału, zabezpieczono odwróconym blaszanym talerzem, a na koniec zabandażowano klatkę piersiową, ale to było wiele godzin, wiele dni czy wiele pociągów temu, trudno ocenić ile.

Dalmau powinien tylko pomagać lekarzom; otrzymał rozkaz, żeby zostawić chłopca w spokoju i zająć się następnym pacjentem, ale uznał, że skoro ten dzieciak przeżył wstrząs, krwotok i transport, zanim się znalazł na peronie dworca, to musi mieć silną wolę życia i szkoda, gdyby po tym wszystkim teraz skapitulował przed śmiercią. Usunął ostrożnie szmaty i zauważył ze zdziwieniem, że otwarta rana była tak czysta, jakby mu ją ktoś wymalował na piersi. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że pod naciskiem żeber i mostka serce nie zostało zmiążdżone. Víctor Dalmau miał wrażenie, że w ciągu trzech lat praktyki podczas hiszpańskiej wojny domowej, najpierw na frontach Madrytu i Teruelu, a później w szpitalu ewakuacyjnym w Manresie, zobaczył już wszystko i uodpornił się na ludzkie cierpienie, ale nigdy wcześniej nie widział żywego serca. Zafascynowany wsłuchiwał się w ostatnie

uderzenia, coraz wolniejsze, sporadyczne, aż całkiem ustały i żołnierz wydał cichutko ostatnie tchnienie. Przez chwilę Dalmau trwał nieruchomo, wpatrując się w czerwony otwór, gdzie już ustał wszelki ruch. Spośród wojennych wspomnień to miało najczęściej do niego powracać, z obsesyjną uporczywością: to piętnasto- czy siedemnastoletnie dziecko, gołowąs, utyłany w błocie i zaschniętej krwi, leżący na plandece, z odsłoniętym sercem. Nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego wsadził trzy palce do tej przerażającej rany, ujął narząd i zaczął go uciskać, rytmicznie, spokojnie, jakby to była rzecz całkiem normalna, jak długo, nie pamiętał, może trzydzieści sekund, może całą wieczność. I nagle poczuł, że serce ożywa w jego palcach: najpierw lekko, prawie niedostrzegalnie zadrżało, a następnie zaczęło pracować żwawo i rytmicznie.

– Chłopcze, gdybym tego nie widział na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył – odezwał się uroczystym tonem jeden z lekarzy, który obserwował tę scenę. Dalmau dopiero teraz go zauważył.

Zawołał sanitariuszy z noszami i rozkazał im, żeby natychmiast przetransportowali rannego, biegiem, bo to szczególnie przypadek.

– Gdzie się pan tego nauczył? – zapytał Víctora, kiedy sanitariusze zabrali żołnierzyka, bladego jak śmierć, ale z wyczuwalnym pulsem.

Víctor Dalmau, jak zwykle oszczędny w słowach, powiedział tylko, że udało mu się zaliczyć trzy lata medycyny, zanim się znalazł na froncie jako sanitariusz.

– Ale tego gdzie się pan nauczył? – powtórzył lekarz.

– Nigdzie, po prostu pomyślałem, że i tak nie mamy nic do stracenia...

– Zauważyłem, że pan utyka.

– Lewa kość udowa. Pod Teruelem. Już się goi.

– Dobrze. Od teraz będzie pan pracował ze mną, tu się pan marnuje. Nazwisko?

– Víctor Dalmau, towarzyszu.

– Tylko nie towarzyszu. Proszę się do mnie zwracać panie doktorze i nie spoufalać się. Jasne?

– Jasne, panie doktorze. I wzajemnie. Do mnie może się pan zwracać per panie Dalmau, ale nie gwarantuję, jak na to zareagują inni towarzysze.

Lekarz uśmiechnął się pod wąsem. Nazajutrz Dalmau zaczął terminować w zawodzie, który określił go na całe życie.

Víctor Dalmau dowiedział się później, podobnie jak cały personel szpitala Sant Andreu i innych szpitali, że zespół chirurgów przez szesnaście godzin wskrzeszał zmarłego, aby mógł opuścić żywy salę operacyjną. Wielu uznało, że to cud. Ci, którym nie po drodze było z Bogiem i świętymi, uznali, że to efekt postępu nauki i mocnego, końskiego zdrowia chłopca. Víctor obiecywał sobie, że go odwiedzi tam, gdzie go przetransportowano, ale czasy wymuszały taki pośpiech, że zacierała się granica między spotkaniami zaplanowanymi i odbytymi, między obecnymi i zaginionymi, żywymi i martwymi. Przez pewien czas wydawało się, że zapomniał o tym sercu, które trzymał w dłoni, bo życie bardzo mu się skomplikowało i zajmowały go inne pilne sprawy, ale po latach, na drugim krańcu świata, wróciło ono w koszmarach i od tej pory chłopiec odwiedzał go od czasu do czasu, blady i smutny, z martwym sercem na tacy. Dalmau nie pamiętał, jak mu było na imię, a może nigdy tego nie wiedział, więc z oczywistych względów nazwał go Łazarzem, ale żołnierz nie zapomniał o swoim zbawcy. Gdy tylko zdołał sam usiąść i sięgnąć po wodę do picia, opowiedziano mu o wyczynie pielęgniarza na Dworcu Północnym, że nazywał się Víctor Dalmau i sprowadził go na ziemię z krainy śmierci. Zarzucono go pytaniami; wszyscy chcieli wiedzieć, czy niebo i piekło istnieją naprawdę, czy to tylko wymysł biskupów, żeby nastraszyć ludzi. Chłopak doszedł do siebie jeszcze przed końcem wojny i dwa lata później, w Marsylii, kazał sobie wytatuować nazwisko Víctora Dalmau na piersi, pod blizną.

Młoda *miliciana* w czapce zalotnie przechylonej na bakier w oczywistym zamiarze zneutralizowania brzydoty munduru czekała na Víctora Dalmau przed salą operacyjną, a kiedy wyszedł, z trzydniowym zarostem, w poplamionym fartuchu, wręczyła mu kartkę z informacją przekazaną przez telefonistki. Dalmau spędził wiele godzin przy stole operacyjnym, bolało go kontuzjowane udo, a odgłosy z pustego żołądka uświadomiły mu, że od rana nic nie jadł. Harował jak muł, ale cieszył się, że ma okazję uczyć się od najlepszych hiszpańskich chirurgów. W innej sytuacji taki jak on student nie mógłby nawet się do nich zbliżyć, ale na tym etapie wojny studia i tytuły były mniej warte niż doświadczenie, a tego miał aż nadto, jak stwierdził dyrektor szpitala, pozwalając mu pomagać przy operacjach. Potrafił wtedy wytrzymać czterdzieści godzin przy pracy, bez przerwy, bez snu, dzięki papierosom i kawie z cykorii, nie pamiętając o bólu nogi. Ta noga wybawiła go od walki na pierwszej linii frontu, dzięki niej mógł wojować na tyłach. Zaciągnął się do armii republikańskiej w 1936, jak prawie wszyscy młodzi ludzie w jego wieku, i wyruszył ze swoim regimentem bronić republikańskiej części Madrytu przed narodowcami, jak siebie określali wojskowi zbuntowani przeciw rządowi, ale nie siedział z karabinem w okopach; dzięki studiom medycznym bardziej się przydawał przy ewakuacji rannych i zabitych. Później wysyłano go na inne fronty.

W lodowatym grudniu 1937 roku podczas bitwy pod Teruelem Víctor Dalmau przemieszczał się heroicznym ambulansem, udzielając pierwszej pomocy rannym, podczas gdy szofer, Aitor Ibarra, nieśmiertelny Bask, dokonywał cudów, prowadząc karetkę drogą zawałoną gruzami ruin, a przy tym nucił bez przerwy i śmiał się na cały głos, żeby oszukać śmierć. Dalmau miał nadzieję, że fart urodzonego pod szczęśliwą gwiazdą Baska, który wyszedł cało

z tysiąca perypetii, będzie dopisywać im obu. Z obawy przed bombardowaniami często jeździli nocą; jeśli nie świecił księżyc, ktoś szedł przed nimi z latarką i wskazywał Aitorowi drogę, o ile była jakaś droga, a tymczasem Víctor w marnie wyposażonej karetkie udzielał pierwszej pomocy, przyświecając sobie drugą latarką. Stawiali czoło przeszkodom na drodze i temperaturom spadającym poniżej zera, poruszali się po lodzie wolno jak liszki, zapadali w śniegu, pchali ambulans pod górę i wyciągali go z rowów i krateńców powybuchowych, wymijali sterzące pręty i zamrożone trupy mułów, nękanie seriami z karabinów maszynowych narodowców i bombami, jakie zrzucały krążące na niebie samoloty Legionu Condor. Víctor Dalmau, skupiony na utrzymywaniu przy życiu ludzi powierzonych ich opiece, wykrwawiających się na jego oczach, nie zwracał uwagi na to, co się działo na zewnątrz, najwyraźniej udzielił mu się desperacki stoicyzm Aitora Ibarry, który prowadził karetkę obojętny na okoliczności i sypał żartami jak z rękawa.

Kolejnym etapem jego służby był szpital polowy, dla ochrony przed bombardowaniem usytuowany w jaskiniach Teruelu, gdzie pracowano przy świetle świec, kaganków nasyconych olejem silnikowym i lamp naftowych. Walczyli z zimnem, ustawiając przenośne piecyki pod stołami operacyjnymi, a mimo to zimne jak lód instrumenty przyklejały im się do palców. Lekarze operowali w pośpiechu tych, których dało się z grubsza połatać przed przekazaniem ich do szpitali, z pełną świadomością, że wielu z nich umrze po drodze. Inni, którzy nie mieli już szans, czekali na śmierć znieczuleni morfiną, gdy była morfina, zawsze racjonowana, podobnie jak eter. Kiedy brakowało czegokolwiek, czym można by ulżyć w cierpieniu żołnierzom ze strasznymi ranami, którzy wyli z bólu, Víctor dawał aspirynę i wmawiał im, że to bardzo silny amerykański narkotyk. Bandaże prano w wodzie z roztopionego śniegu i lodu, żeby móc ponownie je wykorzystać. Do najgorszych obowiązków należało palenie na stosie amputowanych rąk i nóg; Víctor nie mógł się przyzwyczać do woni palonego ludzkiego ciała.

Tam, w Teruelu, spotkał ponownie Elisabeth Eidenbenz, którą poznał na madryckim froncie jako wolontariuszkę Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom Wojny. W Madrycie zadurzył się w tej dwudziestoczteroletniej szwajcarskiej pielęgniarko o twarzy renesansowej Madonny i odwadze zaprawionego w boju wojownika i zaangażowałby się jeszcze bardziej, gdyby dała mu choć cień nadziei, ale ona skupiała się wyłącznie na swojej misji: jak ulżyć cierpieniom dzieci w tych brutalnych czasach. W ciągu paru miesięcy, jakie upłynęły od ostatniego spotkania, Szwajcarka straciła tę naiwność, z jaką przyjechała do Hiszpanii. Jej charakter zhardział w walce z biurokracją wojskową i głupotą mężczyzn; rezerwowała współczucie i życzliwość tylko dla swoich podopiecznych – kobiet i dzieci. W przerwie między dwoma atakami Víctor natknął się na nią koło jednej z ciężarówek zaopatrujących ich w żywność. „Cześć, chłopcze, pamiętasz mnie?” – pozdrowiła go Elisabeth hiszpańszczyzną wzbogaconą o gardłowe germańskie dźwięki. Na jej widok odebrało mu mowę; jakże by mógł nie pamiętać! Wydawała się dojrzała i piękniejsza niż przedtem. Przysiedli na kupie gruzu, on z papierosem, ona z herbatą w manierce.

– Co słyhać u twojego przyjaciela Aitora? – spytała.

– Niezmordowany jak zawsze, pod salwami karabinów maszynowych, i ani jednego zadrapania.

– Ten to niczego się nie boi. Pozdrów go ode mnie.

– Co będziesz robić, jak wojna się skończy? – zapytał Víctor.

– Pojadę na inną. Zawsze gdzieś się toczy jakaś wojna. A ty?

– Jeśli nie masz nic przeciw temu, to może byśmy się pobrali – szepnęła nieśmiało.

Roześmiała się i na moment wróciła jej dawna uroda renesansowej damy.

– Nigdy w życiu, chłopcze, nie mam zamiaru wychodzić za mąż ani za ciebie, ani za nikogo. Nie mam czasu na miłość.

– Może zmienisz zdanie. Sądzisz, że jeszcze się spotkamy?

– Na pewno, jeśli uda nam się przeżyć. Pamiętaj, Víctorze, że zawsze możesz na mnie liczyć. Jeśli tylko mogłabym ci w czymkolwiek pomóc...

– A ty na mnie. Mogę cię pocałować?

– Nie.

* * *

W jaskiniach Teruelu Víctor nauczył się kontrolować emocje i nabył takiej wiedzy medycznej, jakiej by mu nie zapewnił żaden uniwersytet. Przekonał się, że człowiek może się przyzwyczaić do prawie wszystkiego: do krwi (i to w jakich ilościach!), do operowania bez znieczulenia, do smrodu gangreny, do brudu, do niekończącej się rzeki rannych żołnierzy, a czasem kobiet i dzieci, do wiecznego zmęczenia, korodującego wołę i, co najgorsze, do straszego podejrzenia, że całe to poświęcenie może pójść na marne. I to tam, kiedy po bombardowaniu wyciągał zabitych i rannych z ruin, zawałił się na niego mur i przygniół mu lewą nogę. Wtedy zajął się nim angielski lekarz z Brygad Międzynarodowych. Gdyby trafił na kogoś innego, natychmiast podjęto by decyzję o amputacji, ale Anglik dopiero zaczynał zmianę i był wypoczęty. Wydał jakieś polecenie pielęgniarce i przygotował się do nastawiania kości. „Masz szczęście, chłopcze, że wczoraj przyszła dostawa z Czerwonego Krzyża i mamy czym cię uspić”, powiedziała pielęgniarka, nakładając mu na twarz maskę z eterem.

Víctor uznał, że do wypadku doszło, ponieważ nie było wtedy przy nim Aitora Ibarry i nie mógł liczyć na jego szczęśliwą gwiazdę. Aitor odwiózł go na pociąg, którym ewakuowano dziesiątki rannych do Walencji. Nogi z powodu ran nie dało się zapakować w gips, tylko ją unieruchomiono łubkami i paskami. Otulony kocem, drżał z zimna i gorączki i cierpiał przy każdym gwałtownym hamowaniu pociągu, ale nie narzekał, bo i tak znajdował się w lepszej sytuacji niż większość mężczyzn leżących na podłodze

wagonu. Aitor oddał mu swoje ostatnie papierosy i zdobył dla niego morfinę, zastrzegając, by korzystał z niej tylko w ostateczności, bo na więcej nie ma co liczyć.

W szpitalu w Walencji podziwiali dobrą robotę angielskiego lekarza; powiedzieli, że jeśli nie dojdzie do komplikacji, noga będzie jak nowa, tylko nieco krótsza. Gdy rany zaczęły się zablizniać i już mógł stanąć, opierając się na kuli, z nogą w gipsie odesłali go do Barcelony. Spędził rekonwalescencję w domu rodziców, gdzie rozgrywał niekończące się mecze szachowe ze swoim starym, do momentu, kiedy mógł się poruszać o własnych siłach. Wtedy wrócił do pracy w jednym ze szpitali dla ludności cywilnej miasta. Czuł się jak na wakacjach, bo w porównaniu z tym, co przeżył na froncie, tu był raj czystości i skuteczności. Pozostał tam do wiosny, bo wtedy go oddelegowano do szpitala Sant Andreu w Manresie. Pożegnał rodziców i Roser Bruguerę, studentkę konserwatorium, którą państwo Dalmau przyjęli pod swój dach, a on podczas tygodni rekonwalescencji pokochał ją jak własną siostrę. Marcel Lluís i Carme Dalmau cieszyli się, że ta skromna miła dziewczyna, która spędzała całe godziny przy pianinie, dotrzymuje im towarzystwa po tym, jak dom opuścili synowie.

* * *

Víctor Dalmau rozłożył kartkę przekazaną przez milicjanę i przeczytał wiadomość od matki. Nie widział Carme od siedmiu tygodni; chociaż szpital był położony zaledwie siedemdziesiąt pięć kilometrów od Barcelony, nie miał wolnej chwili, żeby podjechać tam autobusem. Raz w tygodniu, zawsze o tej samej porze, w niedzielę, matka dzwoniła do niego i tego samego dnia starała się przesłać jakiś prezent, czekoladę od międzynarodowych brygadzi-
stów, kiełbasę czy kostkę mydła zdobytą na czarnym rynku, a czasem papierosy, dla niej prawdziwy skarb, bo nie potrafiła żyć bez nikotyny. Syn zastanawiał się, jak jej się udawało je zdobyć. Tytoń

był na wagę złota, do tego stopnia, że samoloty nieprzyjacielskie zrzucały go czasem razem z bochenkami chleba, popisując się zbytkiem, na który mogli sobie pozwolić.

Wiadomość od matki przesłana w czwartek musiała oznaczać coś pilnego: „Będę czekać w Urzędzie Pocztowym. Zadzwoń”. Syn obliczył, że czeka na niego już ze dwie godziny, czyli tyle, ile on spędził na sali operacyjnej, zanim otrzymał wiadomość. Zszedł do biura w piwnicy i poprosił jedną z telefonistek, żeby połączyła go z pocztą w Barcelonie.

Carme odebrała telefon i głosem przerywanym atakami kaszlu kazała starszemu synowi natychmiast stawić się w domu, bo ojciec jest w stanie krytycznym.

– Ale co się stało? Przecież był zdrowy i na nic nie narzekał! – zdenerwował się Víctor.

– Serce odmawia mu posłuszeństwa. Zawiadom brata, niech przyjedzie się pożegnać, bo ojciec długo już nie pociągnie.

Zlokalizowanie Guillema na madryckim froncie zajęło mu trzydzieści godzin. Gdy wreszcie uzyskał z nim łączność radiową, przez niezemiński hałas i potępieńcze wycie dotarły do niego słowa brata, że o przepustce nie ma co marzyć. Víctor z trudem rozpoznawał ten docierający z daleka, zmęczony głos.

– Sam dobrze wiesz, Víctorze, że teraz każdy, kto potrafi unieść karabin, jest niezbędny. Faszyci mają nad nami przewagę w ludziach i uzbrojeniu, ale nie przejdą – powiedział Guillem, cytując dosłownie hasło spopularyzowane przez Dolores Ibárruri, *No pasarán!*, której pseudonim, La Pasionaria, czyli kobieta żarliwa, ogarnięta pasją, znakomicie oddawał fanatyczny entuzjazm republikanów.

Zbuntowane wojsko zajęło większość terytorium Hiszpanii, ale nie udało mu się zdobyć Madrytu, a desperacka obrona każdej ulicy, każdego domu, stała się symbolem tej wojny. Narodowcy mieli posiłki w postaci oddziałów kolonialnych z Maroka, budzących postrach Maurów, i mogli liczyć na bezcenną pomoc Musso-

liniego i Hitlera, ale opór, jaki stawiali republikanie, zatrzymał ich na przedmieściach stolicy. Na początku wojny Guillem Dalmau walczył w kolumnie Durrutiego. Wtedy obie armie starły się na terenie miasteczka uniwersyteckiego w tak bliskiej odległości, że w niektórych miejscach dzieliła ich tylko szerokość ulicy; mogli widzieć swoje twarze i nawet nie musieli podnosić głosu, żeby sobie naubliżyć. Guillem opowiadał, że kiedy siedział zabarykadowany w jednym z budynków, haubice dziurawiły mury wydziału filozofii i literatury, wydziału medycznego i Domu Velázquez; nie mogli się obronić przed pociskami, ale obliczyli, że trzy tomy dzieł filozoficznych wystarczą, by zatrzymać kule. Tak się złożyło, że znajdował się blisko legendarnego anarchisty Buenaventury Durrutiego podczas jego tragicznej śmierci, gdy przybył do Madrytu walczyć na czele swojej kolumny z Aragonii, gdzie wcześniej propagował i konsolidował rewolucję. Zginął raniony w klatkę piersiową z bliskiej odległości w niewyjaśnionych okolicznościach. Kolumna została zdziesiątkowana, śmierć poniosło ponad tysiąc *milicianos*, a wśród tych, którzy przeżyli, Guillem był jednym z nielicznych, którzy nie odnieśli ran. Dwa lata później, po walkach na różnych frontach, znów trafił do Madrytu.

– Ojciec zrozumie, że nie możesz przyjechać, Guillem. Wszyscy w domu o tobie myślimy. Przyjedź, jak tylko będziesz mógł. Choćbyś nie zastał starego przy życiu, twoja obecność przyniesie ulgę matce.

– Przypuszczam, że Roser jest z nimi.

– Tak.

– Pozdrów ją. Powiedz, że jej listy dotrzymują mi towarzystwa i niech się nie gniewa, że nie odpisuję regularnie.

– Będziemy na ciebie czekać, Guillem. Uważaj na siebie.

Pożegnali się krótkim „cześć” i Víctor poczuł ucisk w żołądku, wzdychając do opatrności, żeby ojciec jeszcze trochę pożył, żeby brat wrócił cały i zdrowy, żeby wojna się wreszcie skończyła i żeby Republika nie upadła.

NA NOWĄ POWIEŚĆ BESTSELLEROWEJ
AUTORKI CZEKAŁ CAŁY ŚWIAT!

Historia obejmująca dziesięciolecia i przemierzająca kontynenty,
podążająca za dwojgiem ludzi, którzy uciekają przed wojną
w poszukiwaniu nowego domu.

Hiszpania, 1939 rok. Krwawą wojnę domową kończy zwycięstwo generała Franco. Zaczyna się Wielka Ewakuacja: do granicy francuskiej przez Pireneje dociera blisko pół miliona uchodźców. Wśród nich jest Roser, ciężarna młoda wdowa, której życie nieodwracalnie splata się z życiem Víctora Dalmau, lekarza wojskowego i brata jej zmarłej miłości. Aby przetrwać, muszą zjednoczyć się w małżeństwie, którego żadne z nich nie chce.

Przejęty losem hiszpańskich wygnańców poeta Pablo Neruda przekonuje chilijskiego prezydenta, by Chile – „długi płatek morza i wina i śniegu”, jak nazwał swój kraj w jednym z wierszy – stało się dla emigrantów nową ojczyzną. Roser i Víctor będą musieli stawić czoło niejednej próbie, mimo to znajdują nie tylko radość, ale i przyjaciół – i to w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach.

Isabel Allende posiada niezwykły dar snucia opowieści
i dotykania słowami najczulszych strun ludzkiej duszy.



w sprzedaży także



www.marginesy.com.pl



cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIANY

BOOKLIPS.PL IIIII